

# SMUTNE TWARZE ZWYCIĘZCÓW

Obrazem, który powinien na długo pozostać w oczach wyborców, jest twarz Jarosława Kaczyńskiego komentującego 13 października, kilka minut po 21.00, wyniki *exit poll* zakończonych właśnie wyborów. To była twarz lidera partii, która zwyciężyła, otrzymała mandat do samodzielnego sprawowania władzy przez kolejne cztery lata, a mimo to jej prezes uważa, że coś się nie udało.

Ale prezes Prawa i Sprawiedliwości wcale nie był w tym grymasie niezadowolenia odosobniony. W powyborczy wieczór, a potem w kolejnych dniach, gdy wiadomo było coraz więcej, niezadowolenie z uzyskanych wyników malowało się nie tylko na twarzach tych, którzy deklarowali radość ze zwycięstwa, ale nawet tych, którzy naprawdę mieli prawo, by się cieszyć.

## ■ CO POSZŁO NIE TAK?

Jarosław Kaczyński może rzeczywiście czuć się zawiedziony, choć zachował spokój i nie wybuchnął jak wtedy, gdy „bez żadnego trybu” oskarżył polityków opozycji (*kanalie wycierające sobie zdradzieckie mordy* nazwiskiem jego śp. brata) o zamordowanie Lecha Kaczyńskiego. Ale w słowach wygłoszonych w wyborczy wieczór, że Prawo i Sprawiedliwości należało się od Polaków więcej głosów (dostali ich ponad 8 milionów), była ta sama frustracja i złość na rodaków, którzy nie okazali wdzięczności za uczynione im przez ostatnie cztery lata dobro.

Zjednoczona Prawica wybory wygrała, otrzymała w Sejmie 235 mandatów, a więc dokładnie tyle, co cztery lata wcześniej, ba, zebrała o ponad dwa miliony głosów więcej niż w 2015, a mimo to powodów do radości nie ma, bo naprawdę niewiele brakowało, żeby partię, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej poszły w wyborach do Parlamentu Europejskiego jako jeden blok, zebrały dość głosów, żeby

stworzyć koalicję umożliwiającą odsunięcie PiS od władzy. Łączna liczba głosów oddanych na Koalicję Obywatelską, Lewicę i Koalicję Polską (blisko dziewięć milionów) nie licząc Konfederacji, z którą nikt nie chce być łączony) była wyższa o prawie milion od puli głosów zebranych przez PiS. Także w procentach wygląda to podobnie. Prawo i Sprawiedliwość 43,5, partie opozycji łącznie ponad 48,5 procent głosów. Tymczasem w przekładzie na mandaty wygląda to zaskakująco, Zjednoczona Prawica – 235, partie opozycji (bez Konfederacji) w sumie zaledwie 213. Zdecydował bezwzględny system podziału mandatów, opracowany już ponad 150 lat temu przez belgijskiego matematyka Victora d’Hondta, który promuje partię najsilniejszą nawet wtedy, gdy wyniki wyglądają tak, jak w wyborach październikowych.

Mimo wszystko wynik osiągnięty przez PiS po czterech latach socjalnej polityki niemającej precedensu w III Rzeczypospolitej, deklaracji podtrzymania jej w kolejnej kadencji, a nawet rozszerzenia o kolejne finansowe transfery, jest wynikiem słabym. Sygnałem, że nawet najbardziej podatny na wyborcze przekupstwo elektorat szybko przestaje czuć wdzięczność i być może nie wszystko będzie można z nim załatwić kolejnymi przekazami na konta.

## ■ PRZYSTAWKI GORZKIE I KWAŚNE

A przecież jest jeszcze jeden powód, dla którego prezes Prawa i Sprawiedliwości nie może być z wyników wyborów zadowolony. Tak zwane przystawki do dania głównego, czyli Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry i Porozumienie Jarosława Gowina urosły w siłę i nie wiadomo, jak tę siłę zechcą wykorzystać. Obie partyjki zdobyły po 18 mandatów (w ramach 235 całej Zjednoczonej Prawicy), a więc PiS bez nich nic nie może zrobić. I oczywiście obie natychmiast zaczęły stawiać warunki. Żądając posad, wpływów, koncesji programowych. W dodatku Ziobro harując z prawej strony pisowskiego elektoratu, a Gowin z jego bardziej liberalnej flanki.

Nie skończy się to zapewne otwartym buntem, przed którym ostrzega nawet część pracowniczych portali. Zbigniew Ziobro już raz wystąpił przeciwko Kaczyńskiemu i zapłacił za to długim, upokarzającym antyszambrowaniem i czekaniem na ponowne zaproszenie do pańskiego stołu, co stało się po mocno poniżającym akcie ekspiacji. Wątpliwe, żeby chciał przeżyć to jeszcze raz. Poczekaj raczej na walkę o przywództwo na prawicy, gdy konkurentem nie będzie już Jarosław Kaczyński. Ale wtedy rzuci wyzwanie każdemu, nawet gdyby miał to być namaszczony przez prezesa delfin – Mateusz Morawiecki.

Także wizja, że powtórnej wolty dokona Jarosław Gowin, który już raz porzucił PO, żeby w kolejnej kadencji zostać w nagrodę wicepremierem w rządach najpierw Beaty Szydło, a potem Morawieckiego, a teraz miałby znów zmienić front za cenę fotela szefa rządu, wygląda mało przekonująco i wiarygodnie. Nie mam pewności, czy rzeczywiście Jarosław Gowin, który co prawda robi wszystko, czego oczekuje od niego większy koalicjant, ale nie jest z tego dumny, to najlepszy wybór dla kogoś, kto poważnie myślałby o politycznej wolcie na miarę tej, jaką przeprowadził w sierpniu 1989 roku Lech Wałęsa. Wyciągnął spod skrzydeł PZPR Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe (zanim jeszcze przepoczwarzyło się w PSL). Powstała koalicja, która powołała pierwszy po wojnie niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego.

Nie zmienia to faktu, że powodów do zadowolenia z wyniku wyborczego przystawek, które od czasów Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony zwykł traktować bez litości, Jarosław Kaczyński mieć nie może. Przystawki powinny zaostrezać apetyt i być wstępem do właściwego posiłku, a nie wywoływać zgaę i grymas ust. Z tych samych przyczyn wielkich powodów do entuzjazmu nie mogą mieć Ziobro i Gowin, bo większa niż w poprzedniej kadencji liczba szabel uzmysławia im jedynie poczucie bezsiły w koalicji z PiS. To klasyczny przypadek wyśpiwanej przez Jana Kaczmarka „wolnej rączki, ale w trybach”. Nawet gdyby Ziobro i Gowin chcieli zewrzeć siły w bardzo słabo wyobraźalnym sojuszu i udałoby się im coś wspólnie na liderze Zjednoczonej Prawicy wymusić, żadnej nocy po tym akcie nieposłuszeństwa nie mogliby prześpać spokojnie.

Kibice piłkarscy piszą na murach blokowisk w swoich miastach: „Pan Bóg wybacza, ... (tu

wpisać nazwę odpowiedniego klubu) nigdy”. Lider PiS ma podobnie.

## ■ KAPITAN SCHETTINO NIE CHCE ZEJŚĆ Z COSTA CONCORDII

Mogłoby się wydawać, że skoro tak bardzo nieusatysfakcjonowany jest Jarosław Kaczyński, to powody do zadowolenia musi mieć Grzegorz Schetyna. Tymczasem nic z tego. Kaczyński wygrał, chociaż przegrał, Schetyna przegrał, choć zdaniem sporej części partyjnych towarzyszy mógł wygrać, tylko z jakiegoś powodu się nie starał, a wręcz nie chciał.

Przegrał, bo krótko przed wyborami musiał uznać bolesną prawdę, że jako kandydat na premiera po ewentualnym zwycięstwie jest dla Koalicji Obywatelskiej obciążeniem. Wyciągnął wtedy z kapelusza Małgorzatę Kidawę-Błońską. Musiał pogodzić się z faktem, że Koalicji nie udało się osiągnąć wymarzonego pułapu 30 procent głosów, co pozwoliłoby złagodzić skutki systemu d'Hondta, i że to on będzie o to obwiniany. Musiał przyznać, mimo tryumfalnego ogłoszenia odbicia Senatu, że przewaga (i to z SLD i PSL) zaledwie dwóch-trzech głosów jest na tyle niestabilna, że Prawo i Sprawiedliwości wystarczy wrogie przejście (czytaj: przekupienie) dwóch senatorów, żeby zadziałał efekt Kałuży w Sejmiku Śląskim. Tam przejście na stronę PiS jednego radnego KO, przekupionego posadą wicemarszałka, pozwoliło odwrócić wynik wyborów i przejąć władzę w województwie.

Odrębnym problemem Grzegorza Schetyny są coraz mocniejsze głosy żądające oddania władzy w partii, które pojawiły się już w powyborczy poniedziałek. Potem porównań do włoskiego kapitana, który zatopił „niezatapialny” włoski wycieczkowiec Costa Concordia, zaczęło być coraz więcej. Z tym że Schettino uciekł z tonącego statku wcześniej niż ktokolwiek, a Grzegorz Schetyna oskarżany jest przez współpracowników raczej o to, że uporczywie trzyma się sterów, choć dawno przestał rozumieć, co się wokół niego dzieje.

Schetyna ma prawo sądzić, że bez niego nie byłoby Platformy już od co najmniej trzech lat. Po porażce w 2015 roku wydawało się, że nie ma już co z partii zbierać, sondaże w najgorszych momentach spadały do poziomu 10 procent. Zasługą Schetyny – choć niektórzy uważają to raczej za jego grzech – jest ocalenie PO, przyzwoity wynik w wyborach samorządowych, doprowadzenie do utworzenia niemożliwej wydawało się Koalicji Europejskiej, która

pokazała, że można myśleć o Polsce bez władzy PiS. Prawdopodobnie nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić, więcej, być może nikt oprócz Schetny nie wierzył, że to w ogóle może się udać. Jemu się udało, a mimo to zapewne odpowie, nawet jeśli zachowa fotel przewodniczącego Platformy, za wszystko, co ostatnio przytrafiło się partii złego.

### ■ BO WE TRZECH TANGO WYCHODZI SŁABO

Lewica, która wróciła do parlamentu w sile 49 posłów, a nawet z dwuosobową reprezentacją w Senacie, powinna odczuwać i zapewne odczuwa z tego powodu satysfakcję. Mają jednak wyraźny problem z ustaleniem i komunikowaniem jednym głosem, co dalej. Bo chyba w żadnej z parlamentarnych koalicji, ani w Zjednoczonej Prawicy, ani w Koalicji Obywatelskiej czy Koalicji Polskiej, poszczególnym partiom nie jest do siebie tak daleko jak właśnie w Lewicy.

Oczywiście zagryzione zęby Roberta Biedronia, Włodzimierza Czarzastego, Adriana Zandberga, nazywanych trzema tenorami, deklaracje – który to już raz w historii? – o braku wroga na lewicy i rytualne uściski przyniosły efekt, ale czy na pewno taki, jakiego oczekiwano? Rosnące w sondażach poparcie dla Lewicy, sięgające w najbardziej optymistycznych wyliczeniach 17-18 procent, kazały niektórym komentatorom wieszczyć – proszę przejrzeć opinie publicystów na internetowych portalach w przedwyborczy piątek – nie tylko przekroczenie progu 20 procent (bo liczy się tendencja!), ale wręcz zastąpienie przez Lewicę niemrawej i dychawicznej Platformy w roli lidera opozycji. Balon został nadmuchany mocno, więc 12,5-procentowy ostatecznie wynik lewicowej koalicji musiał mocno podciąć jej skrzydła i zniechęcić tenorów do wspólnych koncertów.

Bo należałoby najpierw zapytać, kto jest winny za wynik niższy, niż oczekiwano? Czarzasty, który uparł się, żeby poupychać na listach upiory przeszłości w rodzaju Marka Dyducha (zdobył mandat) czy dość groteskową Annę Marię Żukowską (też weszła do Sejmu), wstawioną publicznymi żalami, że pies Moniki Jaruzelskiej próbował zgwałcić jej suczkę, a potem jeszcze obskał buty? Biedroń, któremu lewicowi wyborcy pewnie długo będą pamiętać papkinowskie zapowiedzi, że zrezygnuje z mandatu europosła i poprowadzi lewicę do zwycięstwa, gdy ostatecznie wybrał brukselską dietę? Zandberg, nie całkiem udanie ukrywający obrzydzenie do liderów Sojuszu, i to wcale nie z powodu ich postkomunizmu, ale za

przyczyną rażącej lidera Razem zdrady przez SLD ideałów Marksa i jej drobnomieszczańskij nijkowości. Prawdopodobnie jednak żaden z nich nie czuje się ani winny, ani usatysfakcjonowany wynikiem.

Do tanga jak wiadomo trzeba dwojga, lecz gdy partnerów do tańca jest trzech, niełatwo mówić o wykonywaniu starych figur, a o nowe jeszcze trudniej. SLD dostanie subwencję za wejście do sejmu, więc to Sojusz będzie prowadził, ale jak długo Adrian Zandberg i Razem zechcą uczestniczyć w tym tańcu z gwiazdami minionych sezonów, nie wiadomo.

### ■ NAJBARDZIEJ ZADOWOLENI TEŻ NIEZADOWOLENI

Już pierwszego dnia po ogłoszeniu oficjalnych wyników okazało się, że niezadowoleni są nawet ci, którzy powinni być zadowoleni, żeby nie powiedzieć wręcz szczęśliwi. Czyli Konfederacja, która wczłogała się do Sejmu w sile jedenastu posłów, ale za to jakich! Grzegorz Braun, Janusz Korwin-Mikke, Krzysztof Bosak czy Robert Winnicki bezdyskusyjnym przekonaniem o objawionej mocy swoich słów przewyższają nawet Krystynę Pałowicz, Beatę Kempę, Dominika Tarczyńskiego oraz Stanisława Piotrowicza. I to razem wziętych.

Konfederacja w powyborczą noc przeżywała emocjonalną huśtawkę. Bo wyniki exit poll zapowiadały sukces. Grubo ponad milion wyborców, którzy oddali głosy na Konfederację, to poparcie poważne, ale konfederaci, a zwłaszcza Korwin-Mikke musieli mocno zapamiętać gorzką lekcję wyborów do Parlamentu Europejskiego sprzed niespełna pół roku, kiedy wieczorem tryumfalnie odtrąbili sukces, czyli przekroczenie pięcioprocentowego progu wyborczego, by rano obudzić się nie tylko z jedną, ale dwiema rękami w nocniku, czyli pod progami i bez choćby jednego mandatu.

Dlatego podczas powyborczego studio konfederaci mocno dmuchali na zimne, zalecając spokojne czekanie na ostateczne wyniki. No, ale kiedy były już znane, pokazali, jak będzie wyglądała ich obecność w parlamencie. Jako pierwsi zapowiedzieli protest i żądanie unieważnienia wyborów, ponieważ telewizjja Jacka Kurskiego w przedwyborczych sondażach nie uwzględniała Konfederacji jako siły wystarczająco poważnej i mającej realne szanse na mandaty. Oczywiście prezes Kurski zachował się jak feldfebel pruskiej armii, bezrefleksyjnie wykonując partyjny rozkaz pomijania w sondażach

Konfederacji, która najwięcej głosów odbierała Prawo i Sprawiedliwość. Oczywiście nie wszyscy wyborcy narodowców zagłosowaliby na PiS, ale na pewno zrobiliby to chętniej niż na PO czy Lewicę. Ale żądanie unieważnienia wyborów, które dały Konfederacji mandaty w sytuacji całkowitej niepewności, co stałoby się, gdyby przypadkiem został uwzględniony, pokazało, że ideowość Konfederatów jest – jakby to ładnie ująć? – bezdena.

### ■ ZAMIAST CHŁOPÓW BARTOSZEWSKI

Wynika z tej analizy, że skoro niezadowoleni są jak dotąd wszyscy, to usatysfakcjonowane powinno być przynajmniej Polskie Stronnictwo Ludowe i Władysław Kosiniak-Kamysz. Zerwali się z haka, na którym od kilku wyborów wieszają PSL publicyści właściwie z każdej strony, zdobyli nawet pierwszy w dziejach mandat w Warszawie. Władysław Teofil Bartoszewski wniósł partii w wianie autorytet oraz legendę ojca i... wystarczyło. PSL poprawiło stan posiadania w sejmie (30 mandatów) zdobyło trzy mandaty w senacie, a Kosiniak-Kamysz wymieniany jest jako możliwy kandydat partii opozycyjnych na prezydenta, cóż więcej oczekiwać?

Niestety PSL straciło wieś. Sięgnęło po elektorat miejski, ale na wsiach osiągnęło wynik gorszy od najbardziej korzystnego, który uzyskało w wyborach samorządowych w 2014 roku, gorszy niż w wyborach parlamentarnych w 2015, samorządowych w 2018 i – co najmniej dziwne – po wejściu do Koalicji Europejskiej w wyborach do PE 2019. I ta tendencja jest raczej nie do odwrócenia. Pytanie, co nastąpi szybciej. Utrata przez PSL elektoratu na wsi, gdzie po prostu coraz mniej jest rolników z chłopskimi korzeniami, więc bić się o głosy będą jak wszędzie najwięksi? Czy pozyskiwanie wyborców w miastach, a może nawet metropoliach? Kosiniak-Kamysz jest mimo młodego wieku już zbyt długo w polityce, by nie wiedzieć, że zaufanie wyborców traci się błyskawicznie i czasem bez ważnego powodu, odzyskuje bardzo długo. A chętnych do odgrywania w Polsce roli chadecji o rozmachu i oczywiście poparciu niemieckiej CDU jest więcej, na czele z Prawem i Sprawiedliwością.

Dlatego przez PSL, pewny własnej pozycji w partii, nie może być pewny jej przyszłości. Pozornie bezpieczna rola partii obrotowej, wypracowana przed laty przez Waldemara Pawłaka i Jarosława Kalinowskiego, pozwalająca na bardzo opłacalne balansowanie między lewicą a centrowo zorientowaną prawicą,

może po raz pierwszy okazać się rolą niebezpieczną. Sondowanie, ile PSL może dostać od Kaczyńskiego, niekoniecznie nawet po to, żeby rozważyć wejście z PiS w koalicję, ale żeby poznać cenę i wzmocnić swoją pozycję w rozmowach z Platformą i SLD, może okazać się grą bardzo ryzykowną. Bo po raz pierwszy PSL nie ma tzw. twardego elektoratu, którego może być pewien zawsze. Budowanie przyszłości na wizji kolejnych transferów, takich jak ten syna Władysława Bartoszewskiego, może okazać się pomyłką. Nie tylko dlatego, że Bartoszewski miał jednego syna.

### ■ JEŚLI NIE TUSK, TO... NIE MA PROBLEMU

Nie ma powodów do zadowolenia także Donald Tusk, który mógł przez ostatnich kilka lat sądzić, że nieważne, co i kiedy powie, pozostanie ostatnią nadzieją opozycji na pokonanie Andrzeja Dudy i odzyskanie Pałacu Prezydenckiego. Nieważne, jak bardzo będzie hamletyzował i zwodził swoich zwolenników, i niezależnie od tego, jak potoczy się jego kariera w strukturach europejskich, to i tak będzie najpoważniejszym, żeby nie powiedzieć jedynym możliwym wspólnym kandydatem antypisowskiej opozycji w wyścigu o urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. Wystarczy, żeby tylko powiedział, że chce.

Tymczasem pojawiła się kandydatka, która po pierwsze pozbawiła Tuska waloru wyjątkowości i bezalternatywności, a po drugie mimo woli przypomniała o wadach, obciążających jego wyborcze konto. Bo nie tylko głoszący na Platformę w wydaniu Koalicji Obywatelskiej z rozsądku i wybierając mniejsze zło, ale także zwolennicy PO na dobre i złe pamiętają Tuskowi jego ucieczkę do Brukseli pięć lat temu, by nie brać odpowiedzialności za nadciągającą przegraną swojej partii. I wystawienie na odstrzał szlachetnej, ale boleśnie nijakiej Ewy Kopacz. A później wyczekiwanie na rozwój sytuacji w Polsce i jasne sygnały, że gotów jest wrócić do polityki krajowej tylko pod warunkiem, że zostanie mu podstawiony biały koń, a jeszcze lepiej lektyka, w której Schetyna i Sikorski zanoszą go do Pałacu Prezydenckiego.

Małgorzata Kidawa-Błońska tych wad nie ma. Spędziła ostatnich pięć lat platformerskiej smuty w kraju, dzielnie znosząc wszystkie upokorzenia jako rzecznik Platformy, a później jako marszałek i wicemarszałek Sejmu, w dodatku zachowując mimo to walor względnej nowości, a na pewno nie zużywając się w politycznej walce jak Grzegorz Schetyna czy młodszy zagon-

czycy z PO: Borys Budka albo Krzysztof Brejza. Nie zaszkodziło jej też niespodziewane wystawienie pięć tygodni przed wyborami jako kandydatki na premiera. Politycy PiS zostali tym ruchem zaskoczeni tak bardzo, że nie zdążyli znaleźć na Kidawę-Błońską nic wystarczająco złego, by móc to wykorzystać. Z braku jasnej dyspozycji z Nowogrodzkiej, co myśleć, woleli milczeć.

Dla części elektoratu nie są też bez znaczenia korzenie kandydatki. Jeden z jej pradziadków to przecież prezydent II RP Stanisław Wojciechowski, który ustąpił ze stanowiska, nie chcąc dopuścić do większego rozlewu krwi w trakcie przewrotu Piłsudskiego w maju 1926 roku, drugi to Władysław Grabski, jeden z najlepszych premierów (dwukrotnie), jakich miała II RP i autor reformy walutowej. Z takimi referencjami łatwo zachować niezależność wśród swoich i zachować szacunek konkurentów. A Donald Tusk musiał przełknąć gorzką pigułkę, widząc rekordowy wynik nowej kandydatki do urzędu prezydenckiego – 416 tys. głosów wobec 249 tys. Jarosława Kaczyńskiego w tym samym okręgu.

#### ■ A JEŚLI TO NIE *POLITICAL FICTION*?

A przecież jest jeszcze scenariusz, sugerowany przez publicystów, że Koalicja Obywatelska wcale nie chciała tych wyborów wygrać, a wręcz przeciwnie. Wolała pozwolić rządzącym na dokończenie tego, co zaczęli, nawet za cenę doprowadzenia do ruiny budżetu i masowych protestów ulicznych. Oczywiście żaden polityk nigdy się do tego nie przyzna, bo byłoby to kompromitujące. A przecież ocena, że przejmowanie władzy w obliczu nadciągającego kryzysu, rozbuchanych oczekiwań społecznych elektoratu musi doprowadzić do spektakularnej klęski najpóźniej po czterech latach, a być może nawet wcześniej, wcale nie jest jakoś szczególnie nieracjonalna. Jeżeli przypomnieć sobie o przykładach z Ameryki Łacińskiej czy bliższym z Grecji, opinia, że nieograniczone zadłużanie budżetu może doprowadzić do bankructwa państwa, przestaje być pozbawiona sensu.

Wyniki październikowych wyborów, przy założeniu odbicia przez opozycję Pałacu Prezydenckiego, mogą wyglądać jak efekt makiawelicznego, ale realnego w swej istocie planu politycznego. Zakładającego pozostawienie Prawa i Sprawiedliwości przy władzy, by zmusić rządzącą partię do wypicia piwa, które nawarzyła, jednocześnie jednak zamontowanie w systemie politycznym bezpieczników, które

nie pozwoliłyby rządzącym dalej bezkarnie psuć państwa, a przynajmniej nie w takim tempie i na taką skalę jak dotąd. Temu właśnie będzie służyć prawo odrzucania ustaw przyjętych w Sejmie przez Senat z opozycyjną większością, który może skutecznie spowolnić rewolucyjny impet PiS. Podobną rolę mógłby odgrywać prezydent, pod warunkiem oczywiście, że będzie to ktoś inny niż Andrzej Duda.

Oczywiście, byłaby to gra bardzo ryzykowna, obciążona od początku dużym ryzykiem niepowodzenia, na miarę tej, która w 1989 roku doprowadziła do wyboru na prezydenta Rzeczypospolitej generała Wojciecha Jaruzelskiego zaledwie jednym głosem. Został prezydentem, bo do tego zobowiązywała stronę solidarnościową okrągłostołowa umowa, ale został nim w sposób upokarzający tak bardzo, jak tylko było to możliwe.

Jeśli rzeczywiście opozycja podjęła taką grę i udało się jej zakończyć jej pierwszy etap minimalnym sukcesem, to mimo wszystko napięcie wśród realizujących ten plan musi być tak duże, iż raczej trudno oczekiwać od nich uśmiechów. A wyborcy mimo wszystko mają prawo czuć się oszukani prowadzoną nad naszymi głowami rozgrywką, z której zostaliśmy wykluczeni.

#### ■ A NAM PROSTYM ZEWŚZĄD NĘDZA

Niezadowoleni wreszcie mają prawo być wyborcy, nieważne czy z gatunku „suweren”, czy „gorszy sort”, i niezależnie od powodów, dla których skrzyżnieni są liderzy partii, na które głosowali. Mogą być – możemy być! – niezadowoleni, bo październikowe wybory nie przyniosły żadnych wyrazistych odpowiedzi w kwestiach, które zwykle wybory powinny rozstrzygać. Niby nie należało się tych odpowiedzi spodziewać, skoro szliśmy do urn, nie wiedząc w istocie nic. Co dla demokratycznego ustroju Rzeczypospolitej może oznaczać oddanie władzy na kolejne cztery lata Prawu i Sprawiedliwości? Będzie tak samo, tylko bardziej, czy też rządząca partia wyhamuje rewolucyjny zapal? Jaka jest szansa – i czy w ogóle jest – znalezienia kogokolwiek innego, komu można byłoby powierzyć władzę. A nawet, gdyby ktoś taki się pojawił, czy chciałby masę upadłościową po PiS przejąć?

Polska nie ma i nie zapowiada się, żeby miała stabilną władzę, niezależnie od tego, kto miałby ją sprawować, choć oczywiście bliższe temu jest Prawo i Sprawiedliwość. Sprawności i skuteczności władzy nie zapewnią jednak budzące zażenowanie próby korupcji wyborczej i wyluski-



wania senatorów z list opozycji, żeby zachować funkcjonalność tzw. ciągu technologicznego w parlamencie, pozwalającego przeprowadzić ustawę od wniosku przez czytanie w komisji po zatwierdzenie jej przez Senat w ciągu jednej doby. Nie na tym powinno polegać rządzenie w szanującym prawo kraju.

Nie zapewnią stabilizacji także podchody z ponownym przeliczaniem głosów, których efekt niezależnie od wyniku będzie dla rządzących kompromitujący. Bo jeśli przeliczenie głosów rzeczywiście zmieni wyborczy wynik, to tylko bardzo głęboko wierzący przyjmą za dobrą monetę, że stało się to bez „cudownej” – bijącej na głowę cud w Kanie Galilejskiej – przemiany głosów oddanych na Koalicję Obywatelską na głosy oddane na PiS. Gdyby zaś miało dojść do zaangażowania w weryfikację wyniku instytucji europejskich, ostatecznie postawiłoby to nas w szeregu państw niedemokratycznych i niepraworządnych. To raczej słaba perspektywa dla

wszystkich, którzy niekoniecznie mają potrzebę angażowania się w politykę, ale chcieliby żyć w kraju, którego nie trzeba się wstydić.

#### ■ DĚJÀ VU

Nie wiemy nawet, czy, co wieszczy w tym numerze „Odry” prof. Jerzy Juchnowski, ten parlament przetrwa cztery lata. Nadchodzący z zachodu Europy jeśli nie kryzys, to przynajmniej dekonstrukcja, wyborcze deklaracje kolejnych finansowych transferów do coraz liczniejszych grup społecznych, zacisną na gardle rządu i wspierającej go koalicji węzeł, który przetrną wyłącznie przedterminowe wybory.

Wtedy będziemy musieli szybciej niż za cztery lata przeżyć jeszcze raz to, z czym mieliśmy do czynienia w ciągu ostatnich tygodni, tylko pewnie w jeszcze gorszym wydaniu. To nie jest powód do zadowolenia.

*Mariusz Urbanek*

*Małgorzata Stanielewska, „Droga na Południe VI”, linoryt, 2019*

